



SERGIUSZ JACKOWSKI



WSPOMNIENIA O OJCZYŹNIE



SPIS TREŚCI

WSTĘP	3
RODZINNY KĄTEK	3
TRUD BIEDNYCH LUDZI	5
MOJE URODZINY	9
MOJE DZIECIŃSTWO	9
NIEBEZPIECZNA PRZYGODA W SZKOLE	14
KIELEK NIEWINNEJ MIŁOŚCI	15
TĘSKNOTA I NOSTALGIA ZA OJCZYZNĄ	16

WSTĘP

Każdy człowiek, przy różnych okazjach z nostalgią wspomina i opowiada przyjaciołom o swoim, beztróskim dzieciństwie. Moje dzieciństwo było bardzo bogate w różnorodne przygody: miłe, dramatyczne i tragiczne.

Moja Ojczyzna Białoruś była bardzo piękna i bardzo uboga do II Wojny Światowej. O tą krainę od średniowiecza nie dbała żadna władza. Nie było tam żadnego przemysłu. Ludzie w swoich gospodarstwach musieli swoimi sposobami same sobie radzić. W tym, pięknym Kraju, w biedzie i niedostatku spędziłem swoje dzieciństwo, a także u progu swojego dorastania. Co pozostało w mojej pamięci z Rodziny Stron, o biednych, zapracowanych, serdecznych ludziach postanowiłem opisać na pamiątkę dla swoich Potomnych.

Dzisiejsze pokolenie wychowane jest w umiarkowanym dostatku. Nie potrafi i nie chce zrozumieć w jakich warunkach borykali się przez całe życie ich poprzednicy przed i w czasie II Wojny Światowej. Wielu z nich trafiło do Polski, a także i na Obczyznę. Być może niektórzy czytelnicy po przeczytaniu moich, szczerych wspomnień w spół czują niedoli naszych Przodków na Kresach Wschodnich.

RODZINNY KĄTEK

"Kraj Rodzinny".- To wielkie dwa słowa.
W tym Kraju dziecięce łzy roniłem.
Tam Mama mocno do piersi tuliła.
Tam ręka Taty mnie wykarmiła.
Jakże głęboko w mojej pamięci
Dziecięce ścieżki się wydeptały.
Na stare lata często wspominam
Swoje przygody, gdy byłem mały.

Białoruś – to bardzo biedny, bardzo piękny i o zdrowym klimacie Kraj. Tam gdzie się urodziłem nie było żadnego przemysłu. Do stacji kolejowej miasta powiatowego Postawy było 30 km. Do najbliższego miasteczka Miadzioł 10 km.

Dziahile, to moja rodzinna wieś. Teren we wsi i wokół niej był bardzo bajeczny. W samej tylko wsi występowały wzgórza, dolinki, bagienka, równinki. W środku niej źródło, które strumykiem odpływało do pobliskiego jeziora. Droga we wsi była brukowana. Domów murowanych nie było. Prawie wszystkie budynki były budowane z sosnowych okraglaków. Chaty podczas budowy z okraglaków uszczelniano mchem. Niektóre, stare chatki najbiedniejszych ludzi były podpierane belkami przed zawaleniem się. Niektóre z nich były tak niskie że większy człowiek jak wchodził to musiał się przychyłać. Okien w chatach przeważnie było dwa, a czasami trzy. Wszystkie były przeważnie na cztery małe szybki. Większość chat i budynków kryte były żytnią słomą. Przez to często zdarzały się groźne pożary. Dom mieszkalny składał się przeważnie z jednej izby, spiżarni, sieni, a rzadko z kuchni. Często główna izba miała podłogę z desek, a w pozostałych pomieszczeniach posadzka była z ubitej gliny. W kącie izby lub w kuchni był duży piec wybudowany z cegły. Służył on do gotowania, pieczenia chleba, ogrzewania izby i spania w czasie zimy dla starców i dzieci. W okresie zimowym tęgich mrozów pod piecyk służył jako kurnik. Kogut o północy i nad ranem ogłaszał punktualny czas. Dorośli spali w drewnianych łóżkach na siennikach wypełnionych słomą. Przykrywali się kołdrami uszytymi własnoręcznie z kolorowego płótna. Były one wypełniane włóknem z lnu, przez to były bardzo ciężkie. W szczelinach łóżek i w

posadzkach z ubitej gliny gnieździły się insekty. W tamtych latach nie było środków na ich niszczenie. Dokuczliwość pasożytów biedni ludzie musieli znosić. Niewiele było bogatszych ludzi. Ich domy były szalowane deskami i kryte gontem. Wewnątrz tych domów panował ład i porządek. Miały także większe okna. Jakoś umieli radzić w walce z insektami i zadbać o schludność.

Studnie na wsiach były kopane i szalowane drewnem. Z płytszych studni wodę czerpano wiadrem na żerdzi. Nie wiele było studni z betonowych kręgów i z żurawiem. Głębsze studnie z kręgów u bogatszych ludzi były na korby.

Bogatsi i biedni kochali jednakowo swój piękny, Rodzinny Kraj. Tereny Jego były także bajecznie wyrzeźbione przez naturę. Na polach występowało wiele kotlinek w kształcie niecek i okrągłe jak leje po bombach. Podczas ulewy napełniały się wodą deszczową. Latem w nich kąpały się dzieci. Pływały na różnych, domowych naczyniach. Niewielkie, pojedyncze góry występowały w różnych kształtach. Niektóre podobne były do stogów siana. Każda miała swoją nazwę jak: Zazonicha, Jarmulicha, Brymowska, Zajczycha, Ciarpicha i inne. W zimie na nich dzieci miały doskonałe warunki do zjeżdżania na sankach i nartach. Sprzęt ten był produkowany przez rodziców i doroślejsze dzieci. Mądrzejsi rodzice swoje dzieci od wczesnych lat dziecięcych uczyli majsterkowania, by na przyszłość w dorosłym wieku mogli radzić sobie w życiu.

Rodzice, a także i dzieci same wyplatały różne sieci do łowienia ryb. Wędki robili z cieniutkiego sznurka. Przypony do nich z włosia końskiego ogona. U Żyda, który jeździł po wsiach furmanką, szmaty wymieniali na igły i robili z nich haczyki. Zdarzało się, że rodzice z dziećmi doroślejszymi z pni grubego drzewa dłubali koryta, by na połów odpłynąć nieco od brzegu. Jeziora i strumyki były bardzo czyste i obfite w różne gatunki ryb. Między nimi perłą i królową jezior w Polsce przed wojną było Narocz. Nazywano go „polskim morzem”. Był to największy zbiornik śródlądowy w przedwojennej Polsce. Nad nim wybudowano letniskowe miasteczko Kupa. Chłop i robotnik nie przyjeżdżał tam wypoczywać. Miała tam tylko udany wypoczynek "śmietanka" z całej Polski.

Lasy były przepiękne zasiane przez naturę. W każdym lesie występowały najróżniejsze gatunki drzew. W starych drzewach dziecięcy wykuwały dziuple. Wiewiórki wykorzystywały je jako spiżarnie na zimę na orzechy i szyszki. W dziewiczych lasach nie brakowało najróżniejszych grzybów. Królowały w nich dorodne borowiki i kozaki. W wielu przypadkach pola sąsiednich wsi przedzierały rozległe moczary, porośnięte karłowatą sosną, brzezina, olszyną, oraz różnymi krzewami. Te zarośla były siedliskiem dla wilków. Rajem dla ptaków różnego gatunku. Ludzie po zachowaniu się ptaków i ich śpiewie odgadywali bezbłędnie pogodę. Moczary najbardziej były upodobane przez cietrzewie. Bełkot ich rozlegał się od wiosny do późnej jesieni. Ten bełkot ludzie przekształcili w słowa. Na wiosnę brzmiał: - Pradam każuch kuplu babu. - A na jesień:- Pradam babu kuplu każuch.

Moczary służyły dla ludzi jako dodatkowa spiżarnia. Nie brakowało tam grzybów do marynowania i różnych jagód na różne przetwory.

Największym utrapieniem dla hodowców zwierząt były wilki. Z moczarów na pastwiska wyruszały po zdobycz. Na oczach pastuchów zabijały owce. Ofiarę chwytają za nogę. Zarzucały na kark i umykały w moczary. Nie raz przez nieuwagę pastuchów zostawiały wiele zabitych owiec. Biednym gospodarzom ciężko było latem utrzymać konia w stajni. Na noc zbiorowo wyruszali na nieużytki na ich wypas. Po ciężkiej pracy ze zmęczenia zasypiali. Czujne wilki wykorzystywały okazję. Jeden z nich wytarzany w błocie podchodził do konia. Potrząsał futrem. Rzucił ofierze błoto w oczy i nozdrza. Koń podrażniony błotem unosił głowę do góry. W tym czasie drugi w podskoku chwycił za gardło i przeżerał go. Gdy pastuchy obudziły się, po koniu zostało tylko: ogon, grzywa i porozciągane kości.

Jesienią wilki podkopywały się do obór. bez fundamentów. Zabierały cielęta i owce. W

zimie wygłodniałe zabierały psy z łańcuchów. Były wypadki, że ich ofiarami były także dzieci samotnie, wieczorami wracające do domu. W latach siedemdziesiątych odwiedziła moje rodzeństwo kuzynka z rodzinnej wsi. Opowiedziała niezwykłą tragedię. Po wojnie z kilku wsi dzieci uczęszczały do jednej szkoły. Jedną dziewczynkę z sąsiedniej wsi nauczycielka zostawiła po lekcjach za nie dociągnięcie w nauce. Była już szarówka kiedy wracała do domu. Padła więc ofiarą wilków. Ojciec dziewczynki z rozpaczy zemścił się na nauczycielce. Nie zważając na długoletnie więzienie, zjawił się u niej w domu i dokonał zabójstwa. Kiedy podczas wojny mieszkałem na swojej kolonii, w zimową, księżycową noc oglądałem przez okno jak watahy wilków wyły w pobliżu naszej chaty. Nawet teraz na stare lata wilki śnią mi się po nocach jak mnie atakują. Krzyczę nie raz przeraźliwie przez sen.

Pola na tych bajecznych terenach nie bardzo obfitowały w plony, ze względu na brak nawozów naturalnych. Mineralnych w ogóle nie było. Za to łąki były porośnięte bujną trawą. Kwitły bajecznie z dominacją dzięcieliny.

Na Białorusi wszystkie pory roku były piękne i punktualne. Brakowało tam tylko życzliwej i troskliwej władzy, która zadbała by o bardzo serdecznych i bardzo pracowitych ludzi.

W biednym kraju wówczas pod panowaniem Litwy w Żułowie nie daleko od Wilna 5 grudnia 1867 roku urodził się nasz Marszałek. W tych okolicach mieszkańcy posługiwali się białoruską gwarą. Przez to Jego akcent mowy zdradzał swoją Kolebkę. Przez swoje dzieciństwo obcował na co dzień z wiejską biedotą. Poznał dokładnie jej niedostatek. Walcząc o niepodległość Polski przez cały czas myślał i układał plany w jaki sposób pomóc biednym, zapracowanym rodakom. Niestety, nie było chętnych, by pomóc Marszałkowi. Dla tych, którym wywalczył wysokie stołki wyrzekli się Go. Pilnowali tylko swoich, wyzyskiwanych dóbr. Dlatego doprowadzili Marszałka do gniewu. Dlaczego wiele Polaków nie wie, czym był Przewrót Majowy? Niewygodnym, o tym czynie Marszałka nie chce się wiedzieć. Dlaczego więc oni w swoich domach szczycą się Jego symbolami?

Uroczą, Białoruską Krainę przed II Wojną Światową pięknie opisywali poeci- rówieśnicy, urodzeni 1882 roku: Janka Kupała i Jakub Kołas. To były ich pseudonimy. Jakub Kołas był narodowym, białoruskim poetą. Janka Kupała był poetą ludowym. Wszystko co się działo na wsi podpatrywał. Utrwalał w formie poezji biedę cieszących się życiem rodaków. Opisywał w niej piękno, pracowitość radość, niedolę i miłość swojej, ukochanej, białoruskiej wsi. Za czasów caratu był działaczem na rzecz biedoty. W swojej poezji krytykował wyzysk władzy. W Gdańsku jego imieniem nazwano ulicę. Tam także upamiętniono go pomnikiem w 2007 roku. Konstancja Bujło urodzona w Wilnie w 1893 roku była także bardzo znaną białoruską poetką. Nawet teraz, kto słucha audycji "Radio Swaboda" w języku białoruskim, sygnałem jej rozpoczęcia brzmi piękna melodia M. Rowenskiego do tekstu Jej piosenki., która jest długa i rozczulająca.

Lublu Nasz Kraj, staronku hetu
Dzie ja radziłasia, raśa.
Dzie pierszy raz paznała szczascie.
Ślazu niadoli praliła.

TRUD BIEDNYCH LUDZI

Na Białorusi podczas okupacji Carskiej Rosji we wsiach było bardzo mało szkół. Przez to z opowiadań rodziców wynikało, że analfabetów było około 70%. Ludzie za tamtych rządów czuli się całkowicie wolni. Nikt im w niczym nie przeszkadzał. Każdy mógł się ucziwie dorobić. Ze strony władz nie było żadnych problemów. Kto był bogatszy i zaradniejszy ten tworzył warunki na edukację swoim dzieciom. Natomiast władza senatorska Polski zadbała jedynie, by prawie w każdej wsi była czteroklasowa szkoła. Siedmioklasowe szkoły były w odległych dużych wsiach. Z każdej

mniejszej wsi tylko kilku miało ukończoną taką szkołę. Przed II Wojną Światową na wsiach było ponad 50% analfabetów ludzi w wieku od lat 30 wzwyż.

Prawie w każdej wsi było po 50% wyznawców wiary katolickiej i prawosławnej. Młodzi mieszanej wiary bez problemów mogli się żenić. Za ustaloną zgodą jeden z nowożeńców musiał zmienić wyznanie wiary. O rozwodach małżeństw nigdzie nie było słyhać. W ciężkiej pracy jak w kieracie nie było czasu myśleć o takich wybrykach. A po zatem ludzie byli bardzo bogobojni. Nikt nie mógł odważyć się zbezcześcić Sakramenty Święte i Przykazania Boże. Co im los przeznaczył musieli w tym trwać do końca. Żeniąc się obojga wiedzieli, że ich czeka ciężka praca i borykanie się na co dzień z kłopotami. Rodzice jak tylko mogli pomagali nowożeńcom. W swojej wspólnej harówce musieli wszyscy radzić.

O zadbanie niezbędnej higieny i dla innych potrzeb kilka rodzin budowało łaźnie zbiorowe. Służyły one dla kąpieli, zwalczania insektów, suszenia lnu, a nie raz i do większego prania. Bez przemysłu ludzie sami musieli zaradzić. Własnymi sposobami produkowali odzież. Siali len i konopie. Ręcznie pielili. Ręcznie rwali. Wiązali w pęczki i suszyli w polu na słońcu. Kiedy nasiona odpowiednio dojrzały len zwożono do stodół. Tam każdy snopek był osobno młócony specjalnym, drewnianym narzędziem. Tą czynność wykonywali mężczyźni i kobiety. Część nasion jako siemię parzone służyło za lek dla schorzeń żołądkowych. Wymłócony len suszono w łaźniach. Na drewnianych międlicach wyprodukowanych przez gospodarzy kobiety w przedsionku łaźni ten surowiec międlili, by włókno oddzielić od paździerzy. Podczas tej czynności wydzielają się masy kurzu. Nie było żadnej wentylacji. Biedne kobiety ten kurz wdychały. Przez otwarte drzwi przedsionka kurz wydobywał się jak dym z komina. Po zakończeniu czynności międlenia, by w domu nie przestraszyć mężów grzali beczkę wody, by się nie co obmyć. W domu na wyprodukowanych, drucianych szczotkach włókno czesały. Gotowe włókno zwijały w kądziel i przędły na kołowrotkach. Przędka wykonywała niezwykle mozolną pracę. Podczas przedzenia wyskubywała z kądzieli włókno, by go formować w nić. Formowana nić bez przerwy wirowała. Co rusz trzeba było ślinić palce, by dobrze ją uformować. Na palcach wirowana nić rzeźbiła rowki aż do krwi. Ta sama czynność odbywała się z uzyskanej, owczej wełny przeznaczonej na produkcję sukna. Ileż kilometry nici prządka przez całą zimę harówki musiała wyprodukować, by starczyło na odzież dla całej rodziny? Część nici farbowały na różne kolory przeznaczone na wzorzyste tkaniny.

Na wsiach byli nie rejestrowani rzemieślnicy, jak: kowale, krawcy, kołodzieje, bednarze, szewcy, rymarze i inni, którzy produkowali różny, potrzebny sprzęt dla gospodarstw na wsi. Produkowano nawet krosna, które każda gospodyni musiała mieć w domu. Spec mężczyzna uczył kobiety jak tkąć dywany, makaty, i chodniki w różne wzory. Z niefarbowanych nici tkwały płótno. Nie raz tę czynność wykonywali mężczyźni. Utkane płótno na bieliznę i na pościel rozściełano na kilkanaście dni na łąkach w celu wybielenia. Po wysuszeniu w celu zmiękczenia, wałkowano go drewnianym, zębatym sprzętem. Po tych czynnościach płótno było miękkie i gotowe do szycia. Bieliznę i pościel każda kobieta szyła ręcznie. W tej biedzie najbardziej były pokrzywdzone dzieci. Do wieku szkolnego ich jedynym ubiorem były długie, lniane koszule. Kobiety w cebrach i balach pranie wykonywały w domu. Nie raz większą ilość bielizny prały w łaźniach po nagraniu beczki z wodą. Gdy zachodziła potrzeba mełły także zboże na żarnach. Razem z mężami wyjeżdżały do lasu na urobek drzewa. Pomagały im w domu ręcznie piłować drzewo na koziołkach przeznaczone na opał. Często z mężczyznami młóciły zboże cepami. Czynność ta musiała być wykonywana w takt, w zależności od ilości młocarzy. W większej części od mężczyzn miały obowiązek w chowu zwierząt domowych i w wychowywaniu nie raz pokaźnej gromadki dzieci. Wyprawiły ich do szkoły. Pomagały odrabiać im lekcje, które miały ukończoną Szkołę Podstawową.

Prócz ogromu prac w domu, kobiety bardzo ciężko pracowały na polu. Zbierały kamienie, jakie tylko mogły udźwignąć. Układały je w wysokie sterty po za uprawianym polem. Roztrzasały

widłami a nawet i gołymi rękami wywieziony obornik. Sadziły ziemniaki za pługiem. Suszyły, grabiły i pomagały zwozić siano do stodoły. Pielili, rwały len i wiązały go w snopki. Najcięższą i najradośniejszą pracą dla kobiet było żęcie sierpem zbóż. Zwyczajem było, że żniwiarki tą czynność wykonywały grupowo. Takie grupy składały się od trzech do pięciu kobiet, Dla każdej po kolei odrabiano. Przy pierwszym odpoczynku ciężkiej pracy, jakże dla nich smakowały świeże i solone ogórki. Mocno skwaśniałe mleko doprawione świeżym. Własny, świeży, wypieczony chleb. Posiłek zapijały i gasiły pragnienie kompotem z owoców, jakże często niesłodzonym, albo czystą, nagrzaną przez słońce wodą. Po posiłku musiały się wyśpiewać. Śpiew rozlegał się po wszystkich polach. W tym czasie ich mężowie kosili drugi pokos traw. Odkładali kosy. Krzesiwem przypalali skręty z tytoniu. Z zachwytem słuchali pięknego śpiewu swoich ukochanych kobiet. Każda żona bardzo kochała swego męża. W grupowym śpiewie chciała się dla niego wykazać swoimi zdolnościami i pięknym głosem. Przeważnie wieczorami po zakończeniu żniw i ustawieniu ostatniego snopka, po dożynkowym posiłku śpiew na polach rozlegał się do późnej nocy. Po dożynkach u siebie kobiety starały się jak mogły, by jeszcze wygospodarować czas. Za marne grosiki w majątku dokańczyły dożynki. Rozweselały swoim śpiewem także swojego Pana, by nieco hojniej potraktował żniwiarki za ich ciężki trud. Jakże bardzo cieszyły się z zarobionych parę złotych w czasie sezonu.

Nie lekką także pracą dla kobiet były wykopki. Wyorane pługiem rajki ziemniaków rękami gołymi bez żadnej motyki rozgrzebywały ziemię. Przez ich troskliwość ani jeden ziemniak nie pozostawał na polu. Pomagały również mężom ładować worki z ziemniakami na wóz. Wielce troszczyły się razem z mężami o swoje, ciężko wypracowane plony.

Po przyjacielskich grupowych pracach jak: dożynki, omłoty, międlenie lnu, dzierzgania pierza, wykopki nigdy na wsiach nie pito alkoholu. Nie stać ich było nawet na samogon, by odprężyć nie co umysł od codziennych kłopotów. Najczęściej po zakończeniu prac grupowych kobiety częstowano kompotem z suszonych owoców, który często był słodzony sacharyną. We wsiach nigdzie nie spotykało się pijanego człowieka. Tych, biednych, zapracowanych kobiet a także i mężczyzn rozczulała tylko piosenka. Alkohol pojawiał się tylko na weselach. Jeden kieliszek po kolei krążył po wszystkich stołach jakże rozśpiewanych weselników.

Kobiety na wsiach w gospodarstwach na okrągło musiały pracować od świtu do nocy. Nawet ciężarne pełniły ten obowiązek aż do ostatniej chwili rozwiązania. Starały się rodzić dzieci w domu. Nie raz także porody zdarzały się na polach. Położną zastępowała wiejska znachorka. Doświadczenia i praktyka znacherek spełniały bardzo ważną rolę wśród wiejskiej biedoty.

Los mężczyzn na wsi był jeszcze okrutniejszy. Pracowali po nad siły. Dźwigali ciężary po nad siły. Często od takiego przesilenia nabywali przepukliny. Więcej od kobiet musieli myśleć po nocach, by w rodzinach wszystko jakoś po układać i zabezpieczyć przed głodem nie rzadko pokaźną gromadkę dzieci. Musieli jeszcze także wykombinować czas by jeszcze w majątku coś u pana dorobić. Przez to prędzej umierali. Mało którzy przekraczali siedemdziesiątkę.

Pola w ciężkim znoju uprawiali końmi. Żadnych maszyn nie było. Pług i brona były podstawowym narzędziem. Siewu dokonywano ręką rozrzucając ziarno w glebę. Młócili cepami. Krótco przed wojną pokazywały się młocarnie ręczne z korbami po obu stronach. Kręciło nimi od dwóch do czterech mężczyzn. Plewy od ziarna oddzielano za pomocą drewnianej szufelki. Wymłócone ziarno rzucano szufelką półkolistym zamachem na znaczną odległość na klepisko w stodole. Ziarno cięższe leciało dalej. Plewy lżejsze opadały bliżej. Mąkę na chleb produkowano na żarnach. Była to żmudna i wyczerpująca siły praca. Bogatsi część zboża zwłaszcza pszenicę wozili na przemiał do wiatraków.

Za pomocą wiejskiego majstra każdy gospodarz budował sobie chatę i budynki gospodarcze na jakie mu było stać. Z włókna konopi ręcznie pletli różne sznury i powrozy na różne potrzeby. Skóry zwierząt wyprawiali własnym sposobem. Podstawowym składnikiem do rozczynu garbowania skór był boraks i kora świerkowa. Strugali z drewna kopyta o różnych rozmiarach, by na nich z wyprawionej skóry uszyć buty dla całej rodziny. Skóra nie była zbyt wyprawiona z braku odpowiednich składników do garbowania. Obuwie sztywniało. By było miększe, smarowano go dziegciem. Często sztywne obuwie powodowały dokuczliwe odciski i otarcia na nogach. Często ubogim rodzinom nie stać było nawet na takie buty. W takich rodzinach obuwie ze skóry zastępowały łapcie plecione z łyka lipowego lub z łyka łoży. Skarpet nie było. Zastępowano ich onucami. Do łapci onuce były wysoko zawijane. By nie opadały, owijano je sznurkiem. Latem prawie wszyscy dorośli i dzieci chodzili na boso. Zrogowaciała skóra na stopach zastępowała buty. Mężczyźni i dorastające chłopaki z żytniej słomy wyplatali różne naczynia domowe w kształcie beczek i dużych mis na różne potrzeby gospodarcze. Z łoży, wikliny i z korzeni drzew wyplatali różne koszyczki, kobiałki i kosze. Nie lada zadaniem było zabezpieczyć się w opał na zimę. Na moczarach siekierami wyrąbывali różne krzewy. Chrust wiązali w pęki o ciężarze jaki tylko mogli udźwignąć. Pęki do domów nosili na plecach nie raz na dużą odległość. W zimie, kiedy moczary były zamrożone, chrust wozili końmi w saniach. Lepszego drzewa z lasu, też trzeba było dokupić. Na nieużytkach gęsto sama zasiewała się olcha. Pielęgnowano ją. Z szybko rosnących, pięknych, smukłych, olszowych gajów także pozyskiwano cenny materiał do produkcji narzędzi gospodarczych i na opał.

Dochodem gospodarzy było, zaoszczędzone i przechowane zboże. Sprzedawano je na przednówku kiedy było najdroższe. Skupem zboża zajmowali się przeważnie Żydzi. Bardzo wyzyskiwali biedny naród. W mieście powiatowym w Postawach czasami zboże było droższe.

Dalszy kuzyn mojego ojca Mikołaj Bałoszko, był tęgim i bardzo pracowitym chłopem. Chciał więc zarobić kilkadziesiąt groszy. Pewnego razu załadował wóz ze zbożem i udał się z nim do Postaw odległych o 30 km. Zaproponowano mu tam także taką samą jak miejscową cenę. Rozżalony musiał się pozbyć uciążliwego ładunku. Wracając więc z pustym wozem po drodze pomstował. Kiedy mijał wypoczynkowe miasteczko Kupa, nadarzyła mu się okazja wyładować swój żal. Tuż nad brzegiem jeziora Narocz w brzozowym gaju samotnie odpoczywała para kuracjuszy. W rozwieszonym hamaku między brzożami bujał się pół nagi tłuszczoszek. Kobieta obok niego, także w tym stroju opalała się leżąc na kocu. Utrudzony chłop ciężką pracą i doznana krzywdą, nie powstrzymał swego gniewu. Widząc zazdrosną scenę zatrzymał konia. Podszedł do tłuszczoszka i zaczął go z całej siły okładać batem. Prerażony kuracjusz widząc przed sobą dryblasę wyskoczył z hamaka i popędził ratować się prosto do jeziora. Kobieta także, widząc nie przelewki, poderwała się z koca i ruszyła także do jeziora za swoim chłopem. Mikołaj poczuł się zwycięzcą i wrócił do wozu. Zdzielił konia batem. Po drodze do domu cieszył się ze swojej satysfakcji.

W swoim towarzystwie był wyjątkowo dobrym mówcą. Kiedy opowiadał swoje, życiowe przygody, rozśmieszał wszystkich do łez. Mikołaja podczas wojny zabrano do Armii Czerwonej. Z jego ostatniego, rozpaczliwego listu pożegnalnego z frontu do rodziny wynikało, że zginął przy zdobywaniu umocnień OWB. Prawdopodobnie spoczywa na cmentarzu wojennym Armii Czerwonej w Międzyrzeczu. Bez niego w wielkiej biedzie pozostały: matka, żona i czwórka osieroconych dzieci.

Przedwojenny i podczas wojny trud biednych ludzi i ich dramaty nie da się szczegółowo opisać. Teraz z podziwem wspominam swoich przodków jak z wielką uciechą śpiewali. Jak się cieszyli życiem i z tego co mieli. A przecież Oni prócz utrudzonego życia nic nie mieli. Szkoda, że polska literatura omijała przedwojenną biedę i trud ubogich, zapracowanych ludzi. Pozostała po nich tylko legenda, o której nie znają i nie interesują się młode pokolenia. A to dlatego, że nie było

pisarzy w spól czuwających biedocie. Kiedy Polska była pod zaborami, Maria Konopnicka i Eliza Orzeszkowa opisywały z tamtych czasów życie dworskie. Nie zapomniały także o wiejskim zacofaniu i biedzie. Po odzyskaniu niepodległości Polski nie znam pisarza, który by kontynuował twórczość swoich poprzedniczek. Ubóstwo od dawnych czasów, a także i z przedwojennej Polski na Białorusi sprawiło, że tylko nie liczni moi Rodacy wpisali się do historii. Myślę, że teraz od szturchańców zamożniejszych państw Białoruś weźmie się w garść. Naród tego państwa jest ambitny i niezwykle życzliwy, zasługuje więc na godne życie i na godnych sąsiadów.

MOJE URODZINY

Z relacji rodziców.

Był wrzesień 1929 rok, bez dokładnej daty. Ojciec zaplanował zakończyć wykopki na sznurku ziemi przy lesie. Chciał jechać sam, gdyż mama była w bardzo poważnym stanie przed rozwiązaniem. Mama się uparła. Chciała być koniecznie na polu przy zakończeniu wykopków. Raniutko więc wyjechali z domu. Ojciec pługiem wyorał ostatnich parę rajek. Mama rozniosła worki. W tym czasie tuż w lesie była wilczyca. Ojciec mamie powiedział, że te wycie źle wróży. Kazał jej nie schylać się i nie kopać. Nie posłuchała. Kiedy już miała wykopany koszyk ziemniaków nie mogła się odchylić. Poskarżyła się dla ojca o bólach. Ojciec dobrze wiedział, że to już rozpoczął się poród. Szybko pozbiarał worki. Doprowadził mamę do wozu. Pomógł jej ułożyć się na workach. Założył konia. Zdzielił go batem. Wóz na polnej drodze podskakiwał. Mama jęczała przez całą drogę. Kiedy już byli na podwórku, mamy jęki wzmogły się. Ojciec ściągnął ją z wozu i z trudem dowlókl do łóżka. Okrył mamę kołdrą. Biegiem pognął po wiejską znachorę, która także odbierała porody. Kiedy już byli przy łóżku, usłyszeli mój płacz. Położna mną i mamą zaopiekowała się. Ojciec cieszył się, że poród był udany.

Rodzice byli wyznania prawosławnego. Ochrzczono mnie w Słobodzie Żośniańskiej w cerkwi. Ceremonii tej dokonał pop Paweł Wydrycki. Nadano mi imię Siergieja.

Wojna pozbawiła mnie dokładnej daty urodzin. Rodzice jej nie pamiętali.

Podczas niemieckiej okupacji wujek był sołtysiem. Ratował mnie przed branką na przymusowe roboty do Niemiec. Dotarł do moich dokumentów. Skrócił mi wiek o 21 miesięcy. Ta data w moich dokumentach pozostała na zawsze. Po przejściu frontu cofającej się armii niemieckiej ojciec chciał sprostować datę moich urodzin przy pomocy metryki cerkiewnej. Okazało się, że spłonęła razem z plebanią popa Pawła Wydryckiego. Miał on syna jedynaka na imię Radiwon. Podczas okupacji był on wysokiej rangi dowódcą białoruskiej partyzantki. Przez to pop i popadia byli torturowani przez Niemców. Po torturach spalili plebanię.

Warto wspomnieć, że Radiwon Wydrycki był nie tylko wybitnym dowódcą, ale i wielkim agitorem w partyzanckich szeregach i działaczem wśród cywilów w odzyskaniu niepodległości dla Białorusi. Przez to po wyzwoleniu Białorusi spod niemieckiej okupacji został aresztowany i wywieziony na Sybir. Nikt się nie dowiedział co z nim się stało.

MOJE DZIECIŃSTWO

Pierwszych 10 lat dzieciństwa spędziłem na wsi. Chata nasza niewiele różniła się od innych. Przy niej monotennie szumiały: jodła, brzoza i stara jabłoń.

Wychowywałem się w siedmioosobowej rodzinie. Czworgra rodzeństwa, rodzice i dziadek. W rodzeństwie byłem najmłodszym.

Gdy miałem kilka lat, wybiegałem przed chatę, by dla pana wójta Wojciechowskiego,

jadącego bryczką do gminy powiedzieć – Dzień dobry. -Gdy pan był w dobrym humorze, to rzucał parę cukierków. W tych czasach cukierki były wielkim rarytasem dla dzieci.

Zawsze oczekiwałem na pieczenie chleba. Z tego samego ciasta z dodatkiem jajka mama dla mnie piekła małe bułeczki. Przyprawiała je do smaku pachnącymi ziołami. Pszenne bułeczki piekła tylko na większe święta. Cieszyłem się także gdy ojciec wracał z pola. Na stół z kieszeni wysypywał dla mnie strąki młodego grochu. Dla dziecka świeży groch z pola był także rarytasem.

Do szkoły uczęszczałem od siódmego roku życia. W zimie zawsze w domu odrabiałem lekcje spiesząc się przed zachodem słońca. Nie raz zdarzało się i przy lampie naftowej, którą używano w wyjątkowej potrzebie ze względu na oszczędzanie nafty.

Żyliśmy nieco lepiej jak pozostali biedacy. Ojciec prócz siedem-hektarowego gospodarstwa w dużej izbie wygospodarował kątek. Prowadził w nim sklepik z podstawowymi artykułami przemysłowymi.

Pewnego dnia wpadła Akcyza. Sprawdziała jakimi artykułami ojciec handluje. Za gazetową tapetą znaleźli pół paczki machorki. Paczek z machorką nie wolno było przekrajać. Ojciec to czynił, gdyż spół czuwał biednym ludziom, którym nie było stać, by kupić całą paczkę. Znaleźli także kilka papierosów, których nie wolno było nabijać maszynką do sprzedaży. Dodatkowo wpadły im w oko leżące na oknie karty do gry, które wyprodukował brat Władek. Akcyza za te przestępstwa ustaliła karę na 5 zł. Ojciec czuł krzywdę. Tłumaczył się, że to wszystko było na własne potrzeby. Kary nie zapłacił. Sprawa trafiła do sądu. Za opór sąd zasądził 25 zł. Za te drobne przestępstwa cała rodzina wielce odczuła. Nie było pieniędzy na dalszy zakup towarów. Z tego powodu ojciec zamknął swój interesik. Miał żal do Żyda, którego nazywano „Berka”. Miał on w sąsiedniej, większej wsi Studzienica większy sklep i zajazd. Wkrótce po zlikwidowaniu sklepiku, dalszy kuzyn ojca Mikołaj Bałoszko o którym już wspominałem, jadąc z miasta zahaczył o zajazd. Usłyszał od tegoż Żyda przy sąsiednim stoliku zdanie, które było kierowane do znajomego klienta:- Załatwiłem konkurenta! Dotyczyło to właśnie ojca. Wujek rozgniewany grzmotnął pięścią w stół. Nie dokończył posiłku z polewką opuścił zajazd.

Podczas okupacji Niemcy rodzinę Berki zabrali i wywieźli. Jemu udało się zbiec. Tułał się po znajomych zebrząc o kawałek chleba. Był także i u nas. Ojciec mu chleba nie odmówił. Spał także w naszej stodole. Później widziano go w szeregach białoruskiej partyzantki.

W roku 1938 wiosną naszą wieś rozparcelowano na kolonie. Kolonię otrzymaliśmy prawie 2 km. od wsi. Nazwano ją „Żołnierowo”. Ojciec za pomocą moich braci, krewnych i znajomych szybko na nowym siedlisku wybudowali chatę i budynki gospodarcze. Chata była o wiele wygodniejsza niż we wsi. Posiadała osobną kuchnię. Dużą izbę przedzielono przepierzeniem na dwie mniejsze. W tą budowę ojciec włożył wszystkie swoje oszczędności do zera.

Musieliśmy więc opuścić szumiącą jodłę, brzozę i jabłoń, która rodziła małe, słodkie owoce. Ładowaliśmy ostatni wóz. Ja toczyłem duży kamień od żaren. Z braku odpowiedniej siły kamień zawalił mi się na nogę. Okaleczył przygniecioną stopę. Najstarszy brat Arseniusz wziął mnie na ręce. Posadził na wóz. Opatrzył nogę. Jadąc zapłakany żegnałem się z wsią i z pierwszym etapem mojego dzieciństwa. Moi rodzice, dwaj starsi bracia i siostra mieli ogromne zadanie. Trzeba było zagospodarować 10-hektarową, dziczającą, kamienistą kolonię z dwoma hektarami nieużytków. Cały rok był ogromnego trudu. Nawet mama dźwigała duże kamienie i układała je w wysokie piramidy. Schorowany dziadek też nie leniuchował. Trzebił siekierą krzewy na nieużytkach. Poruszał się na kolanach. Na nogach nie mógł się utrzymać bez pomocy kija. Zawsze po posiłku, który mu przynosiłem nucił białoruskie piosenki:

Rada, rada pirapiolka szto letca dażdała.
Rada, rada haspadynia szto zytco sażała.

Ja na kolonii nie miałem lekkiego dzieciństwa. Do szkoły odległej o dwa a nawet o trzy

kilometry musiałem docierać w zimie na nartach własnej produkcji. Nie raz na pieszo przez ogromne zasy śnieżne. Po drodze zatrzymywałem się na jakimś bajorku, by się poślizgać. Po sprawdzeniu zelówek przez ojca otrzymywałem burę. Po lekcjach pasąc krowy i owce bawiłem się z rówieśnikami. Krowy korzystając z mojej nie uwagi powodowały szkody sąsiadowi. Za to od ojca obrywałem lanie. W wolnych chwilach pomagałem dla brata Władka majsterkować. Zbudowaliśmy kilka domków dla szpaków. Zawiesiliśmy je na olchach w pobliżu chaty. Wykonaliśmy z samego drewna wygodny wózek, który był pomocny w gospodarstwie. Woziliśmy nim nawet snopki z pola. Blisko chaty zamocowaliśmy stare koło od wozu na ściętym czubku dzikiej jabłoni. Pierwszej wiosny uwiły na nim gniazdo bociany. Ich donośny klekot ożywił kolonię. Wykopaliśmy stawek i wpuściliśmy do niego kilka ryb. Sam wyplatałem sieci z konopnych nici uwitych przez mamę na kołowrotku. Sam robiłem więcierze. Stawiałem je w pobliskim jeziorze podczas tarła.. Połowy zawsze były udane.

Na kolonię po mroźnej i śnieżnej zimie raptownie przychodziła ciepła wiosna. Szybko topniały śniegi powodując bajeczny, nieustanny szum strumyków, w których na boso ustawiałem wodne wiatraczki. Od zimnej wody skóra na stopach pękała i dokuczliwie szczypała. Na takie objawy mówiono, że to pieją koguty. Zaraz po roztopach powracały ptaki. Na kolonii robiło się miło i wesoło od ptasiego śpiewu i rechotu żab. Piękno natury cieszyło człowieka. Wczesna wiosna zachęcała dzieci do zabaw i różnych przygód.

Brat Arseniusz od czternastego roku życia zajmował się krawiectwem. Siedząc przy ręcznej maszynie nucił polskie, białoruskie i rosyjskie piosenki. Jedną z nich, którą najczęściej śpiewał:

Skakał Kazak czeraz daliny. Czeraz bałkańskije kraja.
Skakał on sadzikom zielonym. Kalco blistieła na rukie.

Poza szyciem uczęszczał na zbiórki Kółka Strzeleckiego. Siostra Zenona po ukończeniu Szkoły Podstawowej pomagała mamie w gospodarstwie. Przędła na kołowrotku i tkła na krosnach. Dziadek na kolonii przeżył tylko pół roku. Pogrzeb jego odbył się z popem. Razem z orszakem pogrzebowym odprowadzał dziadka na cmentarz na pieszo. Szliśmy półtora kilometra w wielką zamieć śnieżną, przez polne bezdroża.

Zagospodarowana kolonia zaczęła rodzić niezłe plony. Rodzice cieszyli się, że już było łatwiej utrzymać rodzinę. Ja zapoznałem się z wieloma kolegami sąsiednich kolonii. Buszowaliśmy po moczarach i lasach. Różniłem się od kolegów tym, że nie było w lesie drzewa na które bym nie wlaźł do wroniego gniazda. Zdziwiłem ich różnymi pomysłami podczas zabaw. Dzieciństwo swoje przeżywałem intensywnie doznając wiele wrażeń i przygód.

Na rozpoczęcie roku szkolnego 1939, nauczyciel przyniósł swoje radio do szkoły. Zamiast słuchać wakacyjnych audycji, usłyszeliśmy głos spikera. Informował Polaków, że Niemcy rozpoczęli agresję na Polskę. Spiker słał się Polskimi Siłami Zbrojnymi. Zapewniał, że dla Niemców nie oddamy ani jednego guzika. Wiadomość tą przyniosłem do domu. Rodzinę ogarnęło przerażenie. Znikł zapał i chęć do pracy. Ludzie zaczęli politykować.

W drugim dniu kiedy przyszlismy z przyborami szkolnymi nauczyciel z zalem oświadczył, że władze nakazały zamknąć szkoły. Ze smutkiem żegnał się ze swoimi uczniami i kazał nam wracać do domów.

Po rozpoczętej wojnie niemiecko - polskiej, na nasze tereny wkroczyła Armia Czerwona. Miałem wówczas 10 lat. Chciałem obejrzeć jadące czołgi i maszerujące wojsko. Niedaleko szosy ukryłem się za wielkim kamieniem. Wystawiłem z za niego głowę i obserwowałem pierwszy raz maszerującą, uzbrojoną armię. Jeden z żołnierzy zauważył, że ktoś się kryje za kamieniem. Wystąpił z szeregu. Zdjął karabin z ramienia i skierował się do mnie. W tym czasie bardzo się przestraszyłem. Gdy żołnierz do mnie się zbliżył, przekonał się, że jestem dzieckiem. Zrzucił

karabin na ramię i powiedział: - Da czto ty z suma tronuśsia? Baiszsia sawieckich sałdat? - Wziął mnie pod pachy i posadził na kamieniu. Potarł dłonią moją zwichrzoną czuprynę i dodał: - Siejczas nie bojsia i smatry. - Na koniec powiedział: - Nu pacan, budź zdarow. - Szybko pobiegł dołączyć do swego szeregu.

Wkrótce otworzono szkoły. Nauczycielami zostali ci, którzy przed wojną ukończyli 7 klas. Naszą szkołę umieszczono w nie wykończonym pałacu pana Wojciechowskiego, który przed wojną był wójtem. Odległość do niej była około 3 km. Uczono nas w języku białoruskim i rosyjskim. Z czytanek uczyliśmy się na pamięć wierszy. Były to wiersze agitacyjne. Przedstawiały wielkie zacofanie i biedę za władz sanacyjnych. Te wiersze deklamowałem na trybunie w dniu Pierwszego Maja. 1940 roku.

Przedstawiam początki dwóch wierszy.

Nia wiesiała u chacie. Trywożna u siale.
Ni chleba, ni soli ni ma na stale.
A tatku zabrali u wojska pany.
A dzieci ich troje pry matce adny.

Praświatleli woczy Biełaruś twaje.
A życi szczstliwym twój narod piaje.
Zakwitali bujna wioski, harady.
Ni jasi Ty bolaj chleba z labiady.

Nowa władza „wyzwoleńcza” wszystką szlachtę wywiozła na Sybir. Widziałem jak naszego pana Wojciechowskiego prowadzono pod bagnetem do ciężarówki. Z tyłu za nim szła jego rodzina. Nie oszczędzono także nauczycielki panny. Nasz nauczyciel Helman zdążył uciec przed zsyłką. Po wojnie dowiedziałem się od znajomego kombatanta- osadnika Leonarda Jankowskiego, który pochodził z naszej, rodzinnej wsi, że Helman z rodziną trafił do Gdańska ze swoją żoną i synem Romanem. (Był On moim szkolnym kolegą. Prawdopodobnie był dziadkiem Ani Helman. O Jej szkolnej tragedii było głośno w telewizji.) W naszych okolicach po zesłanej szlachcie została tylko biedota. W opuszczonych szlacheckich majątkach i domach powstały urzędy „klasy robotniczej”, zarządzane w/g instrukcji z Moskwy.

Mężczyznom i kobietom nałożono plan wyrębu lasu w metrach sześciennych. Ludzie zatrudniali nawet swoje dzieci, by jak najszybciej wykonać uciążliwy plan.. Takim pracusiom nałożono plan następny. Na każdego konia też nałożono plan wywózki dźwizy z lasu na stację kolejową do Postaw. W rodzinach powstawały dramaty, a nawet wydarzyła się i tragedia. Niektórzy woźnice z dźwizą ryzykowali skrócić drogę przez zamrznięte jezioro. Jednego z nich z obciążonymi ciężarem sanie z podczepionymi podsankami dla dźwizy lód nie wytrzymał. Razem z koniem i załadunkiem utonął. Ludzie w obawie przed konsekwencją dyskretnie przeklinali sowiecką władzę. Traktatem o nieagresję Niemcy oszukali Rosję i wyzyskali ją. W większej ilości budulec wywożono na zachód do Niemiec. Tylko mała część trafiała do Rosji. Po pięknych dziewiczych lasach zostały tylko pnie o różnych wysokościach. Wyręby szybko zarastały różnymi krzewami, a najbardziej leszczyną. Po czterech latach leszczynowy las uginał się od orzechów. Ludzie po kilka worków suszyli na zimę.

Po agresji Niemiec na Rosję znowu zamknięto szkoły. Po dwóch miesiącach niemieckiej okupacji znowu chodziliśmy do szkoły. Uczono nas w języku białoruskim i niemieckim. Kiedy partyzantka rozrosła się w siłę, w połowie roku 1943 szkoły ponownie zamknięto. Po tej szkole został w mojej pamięci wierszyk o wiośnie:

Schone Fruhling kom doch wieder.

Lieben Fruhling kom doch bald.
Brings und Blumen laub und lieder.
Schmucken wieder Feld und Wald.

Po kilku miesiącach niemieckiej okupacji biedną Białoruś zaleli cywilni, rosyjscy uciekinierzy. Silnie broniąca się Moskwa przez wiele miesięcy była obleżona przez niemiecką armię. Strefa wojenna zajmowała duży obszar na tyłach niemieckiego frontu. Tam się odbywał nieustanny ruch niemieckich wojsk. Cywilni ludzie byli nękani przez Niemców. Mało tego, to jeszcze Rosjanie bezustannie z ładu i powietrza obstrzeliwali zgrupowania niemieckich wojsk na tyłach wroga. Przez to ginęło wielu rosyjskich cywilów, a wśród nich także dużo dzieci. Nieustanna tragedia zmusiła tych ludzi do ucieczki, Byli to dziadkowie i matki ratujące swoje wnuki i dzieci przed zagrażającą śmiercią. W naszej wsi także pojawiło się kilka niekompletnych rodzin z dziećmi. Zakwaterowano ich w majątkach po byłych właścicielach, których wywieziono na Sybir. Ci ludzie z dziećmi bez żadnej pomocy państwowej musieli przetrwać wiele miesięcy w o szabrowanych pałacach bez okien i drzwi wśród miejscowej, wygłodzonej także ludności. Mało tego, to ta biedna ludność musiała także utrzymywać partyzanckie oddziały. Z jednym takim uciekinierem czternastolatkiem spotkałem się na jeziorze łowiąc raki. Na imię miał Łońka. Opowiadał mi, że uciekł z mamą z rodzinnego miasta Wielkie Łuki. O ojcu od roku nic nie wie, który walczy na froncie. A matka jego chyba od głodu jest chora. Oddałem mu więc kilka złowionych raków.

Nie mało odwagi trzeba było mieć przy połowie raków. Kryły się one w norach w podmytych wodą brzegów jeziora, a także w norach pod korzeniami wodnych krzewów. Do nor wkładało się rękę. Raki broniły się swoimi kleszczami. Jak nożycami cięły skórę na palcach dłoni.

Po kilku dniach od kolegi Dymitra, który mieszkał niedaleko pałacu dowiedziałem się, że Łońkę rozerwało. Zbierając na polu szczaw, znalazł pocisk od moździerza. Jego fragmenty ciała znaleziono przy dużym kamieniu, przy którym była torba ze szczawiem. Tak to troskliwa mama swojego jedynaka nie uchroniła od śmierci. Sama także z głodu i rozpaczki wkrótce umarła.

Partyzantka zadawała bolesne ciosy dla okupanta. Między partyzantami pojawiali się rabusie. Niektórzy z bronią, a niektórzy ze straszakami. Jeden pojawił się z maszynką do mięsa za pasem. Terroryzował zastraszonych, nieświadomych ludzi. Ściągał nawet spodnie i buty z nóg. Większość biedoty nie wiedziała co to za machinę miał rabuś za pasem.

Na początku jesieni 1943 roku w godzinach porannych po koloniach poszła wiadomość. Wieś zapełniła się niemieckim wojskiem pancernym. Wszyscy z przerażeniem czekali, że coś się złego stanie. Nie mylili się. Pierwszego dnia ze wzgórz obserwowali lornetkami tereny. Najbardziej byli wpatrzeni w moczary. Na drugi dzień po południu zobaczyliśmy czarny dym, zamieniający się w czerwone języki ognia. Paliła się pierwsza kolonia najbliższej moczarów. W niedługim czasie paliła się druga. To była kolonia mojego stryja. Po niej zapaliła się trzecia. Nieszczęście zbliżało się do naszego domu. Gdy zaczęła palić się czwarta, dzieląca o jedną kolonię przed naszą, cały dorobek życia wynieśliśmy z chaty. Czekaliśmy w olszowym zagajniku na zagładę przy dużej stercie kamieni. Drżeliśmy wszyscy ze strachu. Nie wiedzieliśmy co z nami się stanie. Po kilkunastu minutach zobaczyliśmy trzech uzbrojonych niemieckich żołnierzy. Zbliżali się do naszego zabudowania. Przerażenie i strach wzmagaly się. Niemcy obejrżeli pustą chatę. Spostrzegli nas w zagajniku i skierowali się w naszą stronę. Trzymali w rękach broń maszynową gotową do strzału skierowaną lufami w nas. W odległości o kilka kroków od nas zatrzymali się. Zmierzyli wzrokiem nasz majątek. Przenikliwymi spojrzeniami wpatrywali się nam w twarze. Zrozumieli nasze przerażenie. Jeden z nich najstarszy wiekiem z fajką w gębie zabezpieczył broń i zarzucił na ramię. Podszedł do mamy. Przytulił ją. W tej chwili wypadła mu fajka z ust. Podniósł ją i prawdopodobnie wyszwargotał po niemiecku:

- Mutter, nach Hause. Feuer schon nein. - Wskazał ręką na chatę. Zrozumieliśmy, że

możemy wracać do domu. Pozostali Niemcy uśmiechali się. Jasne było, że nam i naszej chacie nic nie grozi. Podpalacze zauważyli, że nasze twarze rozjaśniły się. Ten sam Niemiec zwrócił się do ojca i znowu coś szwargotał. Po wyjaśnieniu na migi ojciec zrozumiał, że chodzi mu o bimber. Ojciec na swoje potrzeby parę razy do roku wyciskał parę litry tego trunku. Wskazał ręką na kameradów by szli za nim. Doprowadził ich do następnej, kamiennej, dużej przyzmy. Wyjął z niej kamień i wyciągnął butelczynę. Nie wiem jakiej była pojemności. Podał ją Niemcowi. Kamerad wyciągnął z kieszeni niezbędnik Właf do niego trunku i kazał dla ojca wypić. Kiedy przekonali się, że to nie trucizna, wypili po parę łyków z butelki. Pomlaskali i pogłaskali po swoich brzuchach. Jeden z nich klepiąc ojca po ramieniu oświadczył:

– Bimber ist gut.

Na pożegnanie najstarszy kamerad uściskał ojcu dłoń. Podpalacze wrócili do wsi. My zaś ze swym dorobkiem wróciliśmy do swojej chaty. Od tej chwili przez wojnę i do jej końca nie widzieliśmy już żadnego Niemca.

Wszelkie rządy na wsiach i koloniach sprawowała partyzantka. Przez parę tygodni zajętych było kilka wiosek i kolonie przez Pułk Smoleński, który został przez Niemców odcięty od frontu. Młodzi radzieccy żołnierze byli także zakwaterowani w naszej chacie. Chciałem im podkraść kilka naboju kiedy spali. Zaglądałem do kilku toreb. W każdej było tylko po kilkanaście. Nie mogłem im wziąć żadnego, gdyż rozumiałem, że są liczone. Z braku amunicji musieli więc unikać potyczek z Niemcami. Po otrzymaniu amunicji i sprzętu z powietrza pułk wyruszył wypełniać swoje zadania. Potężna armia, która parła na wschód nie wracała już naszym traktem.

Wiele swoich, ciekawych dziecięcych przygód, wiele dramatów i tragedii doznanych podczas niemieckiej okupacji opisałem w noweli "PIĘĆ WOJENNYCH MAM" Można ją przeczytać na mojej stronie internetowej.

Zaraz po wyzwoleniu przez Armię Czerwoną znowu ucześnie do szkoły. Wojna zmusiła mnie trzeci raz uczyć się w języku białoruskim. Drugi raz w języku rosyjskim. Tak samo podczas wojny wszystkie dzieci szkolne przeżywały różne cierpienia i niedogodności a także utraciły kilka lat edukacji.

Z powodu wyjazdu do Polski nie ukończyłem piątej klasy rosyjskiej szkoły. Byłem w swojej klasie prymusem. Nauczyciel starał się wszelkimi środkami, by nasza rodzina nie wyjeżdżała do Polski. Namawiał mnie, bym przekonał ojca przyjąć obywatelstwo białoruskie. Poświęcał czas namawiając mnie, bym się zapisał do organizacji „Komsomołu”. (Komunistycznaja Sowietskaja Mołodzioż). Był bardzo zawiedziony, że jego próby nie powiodły się.

1-go Maja 1945 roku mój młodszy kolega z trybuny deklamował wiersz w języku białoruskim:

Darahije białaruskije dzieci!
Wy mnoha biady praz wajnu daznali.
Ni dajeli, ni da spali. Trywożna pierażywali.
Jazyki Wam łamali.
Pa polsku, pa rusku, pa niemiecku, pa białarusku
Uczyca kazali.

Białoruś, to chyba była najbiedniejszym krajem w Europie przed wojną i w czasie wojny. Po wojnie znowu była nękana przez władzę sowiecką. Jediną pociechą i nadzieją było, że młodzież zachęcano za darmo się uczyć i ukończyć wyższą uczelnię. Takim sposobem sprytniejsza młodzież uciekała do miasta. A nierozsądna biedota została zagnana do kolchozów.

NIEBEZPIECZNA PRZYGODA W SZKOLE

Po przejściu frontu znowu chodziłem do rosyjskiej szkoły. Była nieco bliżej. W pałacu innego przedwojennego pana Kazimierza Prokopowicza. Ta osada nazywała się „Margi”. W tym pałacu umieszczono także i Siel-Sowiet. (Wiejska Rada). Starszy mój kolega Piotr Krywieniok, brał udział w partyzantce. W Wiejskiej Radzie otrzymał stanowisko. Chodził zawsze z karabinem. Pewnego razu przyszedł do Siel-Sowietu. Karabin zostawił w szkolnej poczekalni. Ja ze swoimi rówieśnikami zjawiłem się tam by czekać na lekcje. Zauważyłem stojący karabin za piecem. Z taką bronią umiałem już się obchodzić. Wziąłem go do rąk i załadowałem nabój. Wiedziałem, że tak jest niebezpiecznie. Postanowiłem broń rozładować. Otworzyłem i odciągnąłem zamek. Stwierdziłem, że nabój pozostał w komorze. Sfatygowany pazur nie wyciągnął go. Uderzyłem więc kolbą o podłogę, by nabój wyleciał z komory. Nabój nie wypadł z komory lecz następny z magazynka. Wcisnąłem go do magazynku i zaryglowałem zamek. Byłem pewny, że komora jest pusta. Skierowałem lufę karabinu w głowę rówieśnika. Patrzyłem w szczerbinę celownika i muszkę. Palcem naciskałem spust. W tej chwili drugi z rówieśników szturchnął mi w ramię. Karabin wypalił. Kula przeleciała obok głowy kolegi. Trafiła w drzwi. Przeleciała przez korytarz i drewnianą ścianę do Sial-Sowietu. Nad głowami siedzącej Rady trafiła w portret Lenina. Szkło z portretu rozprysło się na ich głowach. Cała ekipa władzy razem z Piotrem wbiegła na poczekalnię. Nauczyciel z dziećmi wybiegli też z klasy. Piotr chwycił za karabin leżący na podłodze, który ze strachu upuściłem. Uderzył mnie kolbą w bok i ręką po twarzy. Tego dnia na lekcji już nie byłem. W bólu, kulejąc, wróciłem do domu. Rodzice dopytywali się co się stało. Nie powiedziałem im prawdy.

Do szkoły nadal uczęszczałem, aż do ostatniego dnia przed wyjazdem do Polski. Nadano mi przydomek "stralec". Portret Lenina wymienili na nowy. Piotr otrzymał naganę za zostawienie broni w niebezpiecznym miejscu. Rówieśnik Stanisław, który miał być trupem, przez dwa tygodnie do mnie się nie odzywał. W końcu doszliśmy do zgody. Ostatniego dnia przed wyjazdem cała szkoła na czele z nauczycielem serdecznie mnie żegnali. Spotkałem się także z Piotrem, który z serdecznymi życzeniami żegnał młodszego kolegę mocno ściskając moją dłoń.

KIELEK NIEWINNEJ MIŁOŚCI

Miałem szesnasty rok życia. Z rodziną mieszkałem na kolonii. Do mojej siostry Zenony o dwa lata starszej przychodziły często w odwiedziny kuzynki. Z nimi razem przychodziła o dwa lata młodsza ode mnie ich koleżanka, na imię Tania. Bawiły się w różne dziewczęce gry. Tanię te gry nie interesowały. Była bardziej zainteresowana mną. Lubiła mi towarzyszyć. Ja także ją polubiłem. Interesowała się moim majsterkowaniem, zeszytami i książkami szkolnymi. Najbardziej interesowało ją wyplatanie sieci. Nauczyłem Tanię tego rzemiosła. Wiele mi pomogła. Bardzo się z tego cieszyła. Pochwaliła się nawet swemu ojcu o tym sukcesie. Jej ojciec na imię Daniel był krawcem u którego tego rzemiosła uczył się mój najstarszy brat Arseniusz. Podczas jego odwiedzin pytał rodziców jaki jest los wojenny jego ucznia. Kiedyś w żartach powiedział rodzicom:

- Chyba w przyszłości nasze rodziny bardziej się zbliżą do siebie, ze względu przyjaźni naszych dzieci? Ten komplement przyjaciela także cieszył moich rodziców.

W szkole Tania nie spuszczała ze mnie oczu. Kiedy dowiedziała się, że nasza rodzina będzie wyjeżdżać do Polski z żalu przyleciała na kolonię. Znalazła mnie przy majsterkowaniu. Przytuliła się do mnie i zaczęła płakać. W tym czasie pojawiły się kuzynki. Pocieszały ją jak mogły, by o tym się nie martwiła. Po tym wydarzeniu przestała odwiedzać naszą kolonię. W szkole zauważyłem, że była bardzo smutna i nawzajem nie podchodziliśmy do siebie.

Kiedy ostatniego dnia pożegnałem się ze szkołą, Tania nie wytrzymała. Wybiegła za mną zostawiając tornister w szkole. Tylko zdążyłem zejść po szerokich schodach pałacu, Tania już była przy mnie. 50 metry do rozstajów szosy prowadziła lipowa aleja. Idąc obok mnie pytała kiedy

wyjeżdżamy. Mówiła mi, że bardzo mnie polubiła. Będzie beze mnie jej bardzo smutno. Z litości nad nią wziąłem w rękę jej, pojedynczy gruby, długi, kasztanowy warkocz. W tym momencie odwróciła się do mnie. Szła przede mną tyłem wpatrzona we mnie swoimi, smutnymi, pięknymi oczętami. Zahaczyła piętą o wystający korzeń lipy. Upadła tak niefortunnie wyrywając mi warkocz z ręki. Sukienkę jej podwiało bardzo wysoko. Była bez majtek, tak jak wszystkie dziewczyny w tym okresie do wieku dorosłego. Pierwszy raz widziałem dziewczęce wdzięki. Zdarzyło się to tuż przy rozstajach, gdzie mieliśmy się pożegnać. Tania ze wstydu szybko się poderwała i pobięła. Na rozstajach skierowała się szosą do wsi. Ze wstydem, smutkiem i żalem nie wiedziała gdzie pędzi. Nie wróciła nawet po tornister do szkoły. Zatrzymałem się na leśnych rozstajach. Patrzyłem jak moja pierwsza, nie dorosła, niewinna miłość pędziła wstęgą szosy. Biegając co rusz oglądała się na mnie. Po woli chowała się za wzniesieniem jak zachodzące słońce, które już nigdy nie wzeszło.

TESKNOTA I NOSTALGIA ZA OJCZYZNĄ

Rodzice moi pod koniec lat pięćdziesiątych odwiedzili Rodzinne Strony. Pod koniec lat siedemdziesiątych każdy z mojego rodzeństwa odwiedzili ich także. Brat Włodek dwa razy.

Dowiedziałem się od niego że Tania wyszła za mąż za mojego kolegę o moim imieniu. Po kilku latach owdowiała mając jednego syna. Ja bardzo chciałem odwiedzić ze swoją żoną Rodzinne Strony. Żonę to nie interesowało. Sam nie mogłem jechać. Obawiałem się, by nie wzeszło słońce mojej pierwszej, niewinnej, młodzieńczej miłości, które zaszło w okolicznościach pierwszego, życiowego dramatu. Moje sumienie nie pozwoliło na krzywdę swoich ukochanych i swoich bliskich.

Ja w Polsce musiałem przystosować się do katolickiej młodzieży. Pierwszy ks. proboszcz po wojnie w Parafii Skąpe Mieczysław Haniewski dokonał tej ceremonii.

Mój piękny świat dzieciństwa pozostał na zawsze na Białorusi. W nostalgii za nim na starość postanowiłem opisać swoje dziecięce, uroczne, niepowtarzalne i dramatyczne przygody.

Kochałem kraj – Strony Ojczyste.
Tam się rodziłem, rosłem, bawiłem.
Tam poznawałem piękno natury.
Dziecięce łzy w niedoli roniłem.
Tam słońce wschodziło nad moczarami,
Wśród ptasich treli, bełkotu cietrzewi.
Tam buszowałem w szumiącej kniei.
Na nartach pędziłem w śnieżnej zawiei.

Tam mama w trudzie od świtu do nocy
Zbierała sierpem plony.
Nuciła piosnki o swej młodości,
Aby pocieszyć swój los umęczony.
Troskliwy tata chodząc za pługiem
Potem swą ziemię rosił.
Kłękał na miedzy. W niebo spozierał.
Boga o plony prosił.

Tam pierwsza miłość się wykluwała.
W marzeniach gnała przez góry, doliny.
Patrzyłem w oczy cudowne, uroczne.
Trzymałem za warkocz pięknej dziewczyny.
Tam pożegnałem dziecięcy świat

U progu swojej młodości.
Tam zostawiłem życia szmat
O swojej pięknej przeszłości.
Wszystko zostało, Wszystko minęło
Jak piękne piosnki prześpiewane.
Moja Ojczyzna, dziecięce lata
Zostały w myślach niezapomniane.



KONIEC

Międzylesie styczeń 2009